



Barbara Grzybowska – wzór poznańskiej kupcowej

Barbara Grzybowska moja Babcia, praktycznie całe swoje długie życie poświęciła kupiectwu. Od roku 1919 kiedy to zjechała wraz z rodziną do Poznania, przez blisko 65 lat prowadziła, zmieniając kolejno adresy, sklep galanteryjno-pasmanteryjny. Sklep Barbary Grzybowskiej i jej siostry Anny Busiakiewicz znały kolejne pokolenia poznanianek, które chciały uchodzić za eleganckie. Mogły tam kupić najmodniejsze guziki, eleganckie dodatki do strojów czy też komplet materiałów do tzw. robótek ręcznych. Sklep przetrwał czasy kryzysu lat międzywojennych, jak i czasy totalnej nagonki władz komunistycznych na, wówczas tak nazywaną, prywatną inicjatywę. Przez długie lata pracy zawodowej obie siostry nigdy nie traktowały swojego sklepu wyłącznie jako źródła dochodu. Uważały, że prowadząc sklep muszą swoją ofertą służyć społeczeństwu w zaspokajaniu jego potrzeb. Babcia Barbara była nie tylko kupcem, była człowiekiem renesansu w pełnym tego słowa znaczeniu. Interesował Ją Świat a szczególnie muzyka, opera, teatr. Jeżdżąc po kraju i Europie umiała później swe przeżycia i liczne przygody barwnie opisać i opowiedzieć. W nieistniejącej księgarni, obok kościoła na św. Marcinie, miała półkę na którą pracująca tam wdzięczna klientka, odkładała ciekawe nowości wydawnicze. Jej domowego księgozbioru zazdrościli poważni bibliofile.

Źródłem wiedzy o kolejach życia mojej Babcji Basi i Jej całej rodziny, które będę tu próbował przedstawić, były rozmowy prowadzone przy przeglądaniu zdjęć rodzinnych. Kiedyś tego rodzaju zajęcia świetnie zastępowało dzisiejsze oglądanie „na okrągło” telewizji. Dużą pomocą przy pisaniu tego tekstu były też liczne notatki zawierające przemyślenia i „złote myśli” Babcji zapisywane przez Nią najczęściej na luźnych karteczkach, w notatnikach czy na rewersach fotografii. Własne wspomnienia i spostrzeżenia wyniesione ze współpracy z Babcją przy prowadzeniu sklepu oraz zachowane dokumenty związane z Jej działalnością zawodową i społeczną uzupełniły moją wiedzę. Babcia Barbara nie lubiła się fotografować. W moich dość okazałych zbiorach fotografii nie znalazłem Jej portretowego zdjęcia. Myślę, że wspólne zdjęcie obu sióstr, które praktycznie całe życie były razem, będzie najlepszą ilustracją do tych wspomnień.



Jubileuszowe zdjęcie Barbary Grzybowskiej (z lewej) z siostrą Anną Busiakiewicz, Poznań 1969

Barbara Grzybowska urodziła się 4 grudnia 1891 roku w Pabianicach i była pierwszym dzieckiem małżonków Józefa i Ewy Busiakiewiczów. Oboje pochodzili z okolic Łodzi. Mój pradziadek Józef miał dwóch braci i siostrę. Prababcia Ewa z domu Pietrzyk również pochodziła z wielodzietnej rodziny. Ślub ich miał miejsce w roku 1889 w Łodzi. Na rewersie zdjęcia ślubnego wykonanego w Atelier Photographique mistrza L. Zonera widać dopisek Babci niestety bez dokładnej daty ślubu jej „Kochanych Rodziców”. To najstarsze zdjęcie rodzinne jest przechowywane w naszym domu z dużym pietyzmem. Małżonkowie w klasycznej pozie, zapatrzeni z ufnością w przyszłość. Niestety przyszłość nie okazała się zbyt łaskawa dla rodziny Busiakiewiczów. Zaraz po ślubie przenoszą się do Pabianic. Ciężko pracujący na utrzymanie rodziny Józef, umiera już w roku 1914, pozostawiając ciężar wychowania dwóch małoletnich jeszcze synów, Lucjana i Janka, żonie Ewie. Dzielna kobieta dzięki wsparciu jakie dawała praca zawodowa obu już dorosłych córek Barbary i Anny, potrafiła przetrwać i zapewnić przyzwoite warunki bytu obu chłopcom w trudnych latach wojny.

Córka Barbara wyjechała z rodzinnych Pabianic i w roku 1909 ukończyła trzyletni kurs Szkoły Ochroniarek i Nauczycieli Ludowych w Warszawie przy ulicy Mokotowskiej 55. Była to szkoła wzorcowa, gdzie naukę umiejętnie łączono z wychowaniem ogólnym. Zaszczepiona w tamtych latach miłość do muzyki poprzez niedzielne poranki muzyczne w Filharmonii Warszawskiej pozostała do końca życia. Po ukończeniu kursu trzeba było zdać, jak Babcia wspominała, bardzo trudny egzamin nauczycielski w warszawskim Gimnazjum hrabiego Berga. Najlepszym dowodem na to, że uczennice tej szkoły musiały poważnie podchodzić do nauki był fakt, że Babcia do końca życia płynnie posługiwała się językiem niemieckim w mowie i piśmie, którego nauczyła się właśnie w tej szkole. Warto tu przypomnieć, że w Warszawie w tamtych latach zaborów, językiem urzędowym był rosyjski.

Pierwsza posada Barbary to nauczanie małych dzieci w szkółce Sióstr Niepokalanek w Szymanowie. Później nauczanie dzieci oficjalistów zatrudnionych w cukrowni, w Machnówce koło Berdyczowa. Chyba właśnie tam Babcia wybrała przyszły zawód. W czasie wakacji prowadziła bowiem dla pań kursy robótek ręcznych. Potrzebne były materiały: nici i podkłady do wyszywania, szydełka, druty itd. Materiały te można było nabyć jedynie w Warszawie. Jeżdżąc do warszawskich sklepów zapoznała się z asortymentem towarowym takich sklepów i zasadami handlu w tej branży. Zapewne wtedy zakiełkował w umyśle młodej Barbary pomysł uruchomienia w przyszłości własnego sklepu pasmanteryjno-galanteryjnego.

W roku 1912 Babcia przenosi się do Dąbrowy Górniczej, do szkoły przy kopalni węgla „Paryż”. Później już po drugiej wojnie światowej w tzw. latach minionych, aby choć trochę udobruchać niechętnie dla kupców nowe socjalistyczne władze, które bezwzględnie niszczyły tzw. prywatną inicjatywę, na oficjalnych uroczystościach wspominała, że jednym z jej uczniów w szkole w Dąbrowie Górniczej był grzeczny chłopiec imieniem Oleś. Ów Oleś później został komunistą, a nawet generałem – nazywał się Aleksander Zawadzki. Łatwo się domyślić, że wtedy gdy to opowiadała moja babcia, rzeczony Oleś piastował poważne stanowisko, był przewodniczącym Rady Państwa. Rzecz jasna musiała koniecznie dodać, że pan generał nic innego nie robił tylko troszczył się o los wszystkich pracujących, a szczególnie swoich dawnych nauczycieli. Takie to były czasy i takie nie do końca sprawdzone opowiadania.



Zdjęcie ślubne Józefa i Ewy Busiakiewiczów, Łódź 1889

Pracując w szkole młoda nauczycielka wprowadziła ku zdumieniu swoich nowych koleżanek i kolegów zupełnie nowy styl w ówczesnej pedagogice. Nauczanie bowiem nie kończyło się z dzwonkiem ale poprzez różne zabawy z podopiecznymi było kontynuowane w czasie przerw, a nawet ku zdziwieniu innych nauczycieli po lekcjach. Po latach wspominała, że w pokoju nauczycielskim mówiono z przekąsem – panna Busiakiewiczówna to woli od nas młodsze towarzystwo. W Zagłębiu mimo, że był to teren pod zaborem carskim w szkole starano się wychowywać dzieci w duchu patriotycznym a każde rozpoczęcie i zakończenie roku miało miejsce w kościele parafialnym w Będzinie. W roku 1913 Barbara Busiakiewiczówna wyszła za mąż za mieszkańca Dąbrowy Górniczej, technika budowlanego Kazimierza Grzybowskiego. Zdjęcie ślubne i opis na rewersie tego zdjęcia wskazuje, że był to ślub kameralny. Rodzice i rodzeństwo Babci mieszkający już wtedy w Tuszyńcu pod Łodzią zostali o ślubie powiadomieni listownie.

Zbliżała się pierwsza wojna światowa. Dyrekcja szkoły w dniu jej wybuchu wywiesiła na gmachu szkoły polską flagę z białym orłem w koronie.

Dziadek Kazimierz oprócz pracy zawodowej działał także społecznie. Był przez kilka lat kierownikiem tzw. komitetu żywnościowego, którego zadaniem była pomoc dla najuboższych, dotkniętych okropnościami wojny. Kończy się wojna, a po niej zaczyna się wędrówka ludów między dawnymi zborami. Do Poznania zjeżdżają z terenów Kongresówki i Galicji fachowcy potrzebni do odbudowy powstałej po latach niewoli Polski. W Wielkopolsce przyjmowani są niechętnie i uważani za kolejny element obcy. Jednak władze młodego Państwa Polskiego innego wyjścia nie miały. Prusacy na terenach swoich prowincji wschodnich dbali o to, aby mieszkający tu Polacy byli jedynie tanią siłą roboczą z umiejętnością czytania, pisania – oczywiście po niemiecku. Pewne więc stanowiska opuszczone przez wykształconych urzędników pruskich musieli objąć polscy fachowcy, a tylko pod pozostałymi dwoma zaborami, mimo licznych ograniczeń udało się wykształcić polskich tak potrzebnych tu inżynierów i techników. Kazimierz Grzybowski w 1919 roku obejmuje posadę w Dyrekcji Kolei w Poznaniu. Pracuje głównie w rejonie dawnych miast rozgraniczających zabory, Strzałkowa i Słupcy. Buduje tam linie kolejowe wraz z całą infrastrukturą aby połączyć dawne zabory.



Zdjęcie ślubne Barbary Busiakiewiczówny i Kazimierza Grzybowskiego, Dąbrowa 1913

Firma Kazimierz Grzybowski ma swoją siedzibę na ulicy Kopczyńskiego na poznańskim Łazarzu. Biznes Dziadka ciągle się rozwija i oprócz prac budowlanych w terenie prowadzi także zakład produkujący betonowe prefabrykaty. Między innymi produkuje, chyba jako jeden z pierwszych w Polsce, prefabrykowane betonowe śmietniki, które „idą jak woda”. Firma KG ma także wiele zleceń związanych z organizacją w Poznaniu w roku 1929 Powszechnej Wystawy Krajowej – Pewuka. Na Pewuce firma występuje także jako wystawca w branży budowlanej

Po zamieszkaniu w Poznaniu Babcia musiała szukać pracy. O zawodzie nauczycielskim mogła tylko pomarzyć. Decyzja Babci była szybka – otwiera wraz siostrą Anną przy ulicy Garbary 38 sklep branży pasmanteryjnej, w tamtym czasie nazywanym składem z towarami krótkimi. Mimo ciężkich powojennych czasów sklep był bardzo dobrze zaopatrzony w nici, bawełniczki, kordonki do wyszywania, haftowania i szydełkowania. Sprzedawano w nim także paniom bez zdolności artystycznych gotowe robótki ręczne takie, jak haftowane serwety czy ozdobne poduszki wyszywane różną techniką i różną przędzą,

lasetą czy też bardzo wąską jedwabną tasiemeczką. Niebawem Babcia nawiązała kontakty z dostawcami z Wiednia skąd sprowadzała nowe wzorniki do haftów oraz pergaminowe, drobniutko dziurkowane arkusze z wzorami roślinnymi. Hitem były wzorniki tzw. zestawów kuchennych, makatek wieszanych nad stołem lub nad zlewem kuchennym. Na makatkach oprócz fantazyjnych ornamentów roślinnych wyszywano sentencje takie jak „Miłość i zgoda domu ozdoba” czy też „Pamiętaj rozchodzie żyć z dochodem w zgodzie”. W sklepie „Barbara Grzybowska i Anna Busiakiewicz Pasmateria, Robótki Ręczne”, można było się także zaopatrzyć w zamki błyskawiczne, guziki, klamerki, grzebienie czy też koraliki i cekiny do wyszywania krakowskich gorsecików.

Sklep wtedy, ani nigdy potem nie był traktowany przez właścicielki tylko jako źródło utrzymania i szybkiego wzbogacenia się. Zasadą prowadzących sklep siostr było zapewnienie wszystkim kupującym, reprezentujących przecież różne środowiska i różny poziom dochodów, potrzebnych im towarów po dostosowanych do ich możliwości cenach. W początkowych latach działalności wiązało się to może z faktem, że głównym żywicielem rodziny był Dziadek Kazimierz. Później weszło to w nawyk i faktycznie ani moja Babcia ani jej siostra nigdy do „majątku nie doszły”. Może też były i inne przyczyny z tym związane. Mieszkanie w wielkim mieście dawało możliwości czynnego uczestnictwa w życiu kulturalnym miasta: muzea, odczyty i wieczory literackie w Pałacu Działyńskich, muzyka operowa i symfoniczna, teatry, etc. Te pasje, którym oddawała się Babcia z wielkim zaangażowaniem, próbowała harmonijnie łączyć, pewnie nie zawsze z dobrym skutkiem, ze swoją działalnością handlową. Sztuka i ludzie sztuki byli zawsze na pierwszym miejscu. Dla dyrygenta Opery Poznańskiej Zdzisława Górzyńskiego potrafiła sprowadzić z Wiednia specjalne spineczki do koszuli frakowej. Ukochanymi i dopieszczanymi klientkami sklepu były ówczesne gwiazdy opery i teatrów poznańskich: Jadwiga Musielewska, Helena Majchrzakówka, Irena Jedyńska, Maria Janowska-Kopczyńska. Od wizyt w sklepie żony Feliksa Nowowiejskiego rozpoczęła się także znajomość z rodziną kompozytora. Niektóre z tych znajomości przerodziły się później w prawdziwe przyjaźnie, które przetrwały przez długie lata.

Rodzina Grzybowskich mieszka w tym czasie na ulicy Wyspiańskiego. W domu pod numerem 12 zajmuje obszerne mieszkanie na pierwszym piętrze. Mieszkańców jest w nim wielu, bo oprócz dwóch synów Leszka i Tadeusza zwanego Wojtusiem, ciotki Anny, do Poznania z Tuszyńna przemieściła się również mama babci Ewa. Mieszkał z nimi także przez kilka szkolnych lat najmłodszy brat Babci Jan.



Ewa Busiakiewicz (moja prababcia) w otoczeniu dzieci: córek Anny i Barbary oraz synów Jana i Lucjana, Poznań lata 30. XX wieku

W mieszkaniu na Wyspiańskiego miał również swój pokój, ojciec dziadka Kazimierza, mój pradziadek Jan Grzybowski, który w okresie letnim przenościł się na zakupioną przez Kazimierza parcelę, znajdującą się na podpoznańskich Podolanach. Spora, blisko półhektarowa działka, to jedna z wielu, która została wydzielona w latach 20. XX wieku na gruntach majątku Golećcin przez *Spółdzielnię Osadniczą Pracowników Kolejowych Sp. z o.o w Poznaniu*. Mój pradziadek Jan spędzał tam lato w towarowym wagonie kolejowym dostosowanym do zamieszkania co było w tamtym czasie na Podolanach dość powszechnym rozwiązaniem stosowanym przez pierwszych osadników – głównie kolejarzy. Zarówno przed wojną jak i po wojnie Podolany były częstym celem rodzinnych niedzielnych wycieczek. Dojeżdżało się tam koleją do nieistniejącego dziś przystanku Poznań Golećcin (później Podolany) lub dorożką konną. Prezentowana poniżej rodzinna fotografia, ale już z lat powojennych, z roku 1947, przedstawia obie siostry Busiakiewiczówny, moją mamę Janinę i autora tych wspomnień. Stoimy na tyłach naszej działki, przy starej studni a w tle widać dom stojący u zbiegu ulic Krynickiej i Nałęczowskiej – istniejący zresztą do dziś. Szkoda, że fotograf nie ujął mieszkalnego wagonu pradziadka Jana, już nieco zniszczonego, który stał po prawej stronie.

Prawdziwa wielopokoleniowa rodzina Grzybowskich i Busiakiewiczów wiodła w latach 1920–1930 w miarę ustabilizowane życie. Dziadek Kazimierz budował dworce i scalał linie kolejowe porobiorowej Polski, siostry Barbara i Anna prowadziły swój sklep na Garbarach, młodzież ze zmiennym szczęściem próbowała zaliczać kolejne lata nauczenia w szkołach. Brat Jan i synowie Babci Leszek i Tadeusz chodzili do pobliskiego gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego. Jednak tylko jednemu Leszkowi dane było je ukończyć. Brat Babci Jan Busiakiewicz w roku 1925 wyjechał nad świeżo odzyskane polskie morze, by w roku 1930 po ukończeniu Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej zostać promowanym na podporucznika marynarki wojennej. W Gdyni służył na kolejnych polskich okrętach wojennych. We wrześniu 1939 roku jako kapitan marynarki został zastępcą dowódcy artylerii przeciwlotniczej na Helu. Po kapitulacji dostał się do niewoli skąd po wyzwoleniu wyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie dosłużył się stopnia komandora, a po rozwiązaniu polskich sił zbrojnych został biznesmenem. Zmarł w Londynie 5 czerwca 2010 roku dożywając w bardzo dobrej kondycji fizycznej i umysłowej 103 lat. Był najstarszym oficerem polskiej marynarki wojennej.

Syn Babci Barbary Leszek po ukończeniu poznańskiego gimnazjum, wstąpił do Szkoły Orłąt w Dęblinie. Promowany na podporucznika lotnictwa przez rok poprzedzający wojnę służył na lotnisku, na podpoznańskiej Ławicy.



Moje młodzieńcze zdjęcie z Babcią Barbarą, ciotką Anną i moją mamą Janiną, Poznań 1947



Leszek i Tadeusz Grzybowski oraz Anna Busiakiewicz na spacerze przy pomniku ułana na ulicy Ludgardy, Poznań 1938



Barbara i Anna z kuzynem Stasiem z Warszawy przed nieistniejącą dzisiaj niestety Esplanadą od 1930 zwaną Arkadia, Poznań 1939

Podporucznik Leszek Grzybowski walczył w kampanii wrześniowej. Jako jeden z pierwszych lotników polskich, został Kawalerem Orderu Virtuti Militari. 17 września dostał się do niewoli sowieckiej z której udało mu się wydostać dopiero w 1941 roku i dotrzeć poprzez Afrykę do Wielkiej Brytanii. Został dowódcą eskadry w Dywizjonie 306. Po wojnie został w Anglii. Królowa angielska odznaczyła go brytyjskim orderem A.F.C. Leszek Grzybowski dosłużył się w RAF stopnia Squadron Leader, w 1972 roku przeszedł na emeryturę. Miał żonę Angielkę i dwóch synów Stefana i Johna. Zmarł w Wielkiej Brytanii w 1992 roku.

Drugi syn mojej Babcia Tadeusz, a mój ojciec, ze względu na, nazwijmy to enigmatycznie, pewne kłopoty z nauką w gimnazjum, został wysłany na praktykę do słynnych bielskich przedsiębiorni wełny. Widać wychowanie przez pracę pomogło, bo niebawem zdał w Bielsku maturę. Wybuch wojny przeszkodził w dalszej nauce, którą mógł kontynuować dopiero w 1947 roku w poznańskiej Wyższej Szkole Handlowej (obecnie Uniwersytet Ekonomiczny) kończąc ją w 1950 roku.

Tymczasem w latach 1920–1930 w domu przy Wyspiańskiego rządziła prababcia Ewa. Rodzina była bardzo zżyta i lubiła być razem. W święta i nie tylko, zjeżdżali do Poznania liczni rozrzucony po Polsce krewniacy. Myślę, że spotkania były udane o czym świadczą miny gości i zapiski na rewersach zdjęć.

Niestety sielanka rodzinna nie trwa długo. Dziadek Kazimierz w roku 1930 umiera nagle na jednym ze swoich placów budowy. Rozpoczęte i niedokończone inwestycje, prowadzone potem nieudolnie przez amatorów, którzy chcieli zapewne pomóc owdowiałej Babcia, zagroziły finansowo interesom sklepu na Garbarach. Siostry likwidują więc wspólny interes, zamieniają duże mieszkanie na Wyspiańskiego na nieco mniejsze przy ulicy Wrocławskiej. Dotychczas pracujące razem siostry, rozstają się i Babcia Barbara otwiera sklep galanteryjny z dwoma dużymi oknami wystawowymi na ulicy Pocztovej w kamienicy p. Cybichowskiego. Tak się składa, że dziś w roku 2011 w tym miejscu działa podobny sklep. Anna zakłada natomiast swoją własną działalność przy św. Marcinie 19 (obecnie 23) – naprzeciw kina Muza. Firma Busiakiewicz, w nowej placówce na jednej z głównych ulic Poznania, zatrudnia dwie ekspedientki i poszerza asortyment o wełny



Babcia Barbara (z lewej) siedzi na fotelu obok teścia Jana. Na podłodze siedzi między swoimi siostrzeńcami siostra babci Anna. Dziadek Kazimierz stoi pierwszy z prawej, a fotel na którym siedzi Babcia zachował się i wraz z podobną kanapką oraz trzema krzesłami do dziś i zdobią nasz dom, Poznań 1924

i włóczki z wiedeńskiej fabryki Schmita. Interesy idą dobrze mimo drobnych kradzieży, a nawet pożaru. Niestety właścicielka sklepu, ulega wypadkowi drogowemu pod Kórnikami. Anna kierowała autem marki Opel Olimpia, co na owe czasy było ewenementem. Auto zakupione wspólnie z bratem Janem, było też użytkowane wspólnie. Podział był prosty: w lecie jeździł Oplem brat, porucznik marynarki wojennej Jan, stacjonujący w Gdyni, a w zimie siostra mieszkająca w Poznaniu. Kolizja wydarzyła się 13 grudnia 1937 roku. Ciotka jak i inne uczestniczki wypadku, a było ich aż pięć, została ciężko ranna. Leczenie i powrót do zdrowia trwał kilka miesięcy. Wypadek i jego tragiczne konsekwencje, znanej poznańskiej kupcowej szczegółowo opisuje w swej książce „Ulicami mojego Poznania” prof. Zbigniew Zakrzewski (Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1985 s. 300). Sklep na Marcinie z przerwą wojenną działał w tym miejscu, mimo wielu przeciwności, aż do roku 1954.

Powróćmy jednak do Babci. Barbarze miłośniczce sztuki, ale i przygód, udawało się czasem wyjechać na dłuższą lub krótszą wycieczkę. Pierwszym zagranicznym wyjazdem była podróż do



Babcia z synem Tadeuszem w stylowym kapeluszu na parkingu przed cmentarzem górczyńskim, Poznań 1938

Rzymu w roku 1928. Wróciła pełna wrażeń, a jej walizka była wypełniona pamiątkami, które w jakiś cudowny sposób przetrwały czas wojny i liczne przeprowadzki. Kochała także wycieczki po Poznaniu i okolicach. W tym czasie syn Tadeusz dostał, zapewne za tę spóźnioną maturę, motocykl marki Sokół. Babcia odkryła więc uroki podróży takim środkiem lokomocji i często zasiadała w przyczepce tego motocykla. To były czasy gdy motocyklami jeździło się w eleganckich strojach spacerowych a nie skórach i nie zawsze twarzowych kaskach.

Wybuch wojny i okupacja niemiecka to trudny czas dla naszych bohaterów. Już listopadzie 1939 roku Niemki z Rygi zarekwirowały oba sklepy i mieszkanie przy ulicy Wrocławskiej. Babcia Barbara z synem Tadeuszem wyjechała do Warszawy. Zamieszkali w pokoju odstąpionym przez krewnych na ulicy Żłotej. Siostra Anna i matka dostały się do Generalnej Guberni poprzez obóz przejściowy na Główniej i zamieszkały w Jędrzejowie, skąd Anna została w 1943 roku wzięta z łapanki do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu. Barbara po przyjeździe do Warszawy już w roku 1940 w części lokalu odstąpionego przez znajomą, przy ulicy Ordynackiej, otworzyła sklep galanterijno-pasmanteryjny, który nazywał się Kurzwarenmagazin. Sklep działał dając podstawy egzystencji rodzinie. Mimo okropności wojny, Babcia nie rezygnowała ze swoich zainteresowań. Kiedy tylko było można wykorzystywała nadarzające się okazje aby posłuchać muzyki, czy też poezji recytowanej przez znanych artystów. W swoich późniejszych powojennych zapiskach wspominała wiele takich kameralnych imprez ale i cichy, jakże wymowny w tych okupacyjnych czasach pogrzeb jej ulubionego poety Kazimierza Przerwy-Tetmajetra. W sierpniu roku 1941 syn Tadeusz, a mój ojciec, bierze ślub w kościele św. Krzyża w Warszawie z moją mamą Janiną Tomczakówną, poznanianką także wysiedloną po wybuchu wojny do Generalnej Guberni. Dwa lata później mają miejsce moje narodziny.

Babcia Barbara pozostaje wraz ze swoją matką Ewą w Warszawie i prowadzi nadal sklep. Moi rodzice, głównie ze względu na moje bezpieczeństwo, przenoszą się do spokojniejszej Radości pod Warszawą, na prawym brzegu Wisły. Wybucho Powstanie Warszawskie. Babcia bierze czynny udział w powstaniu będąc w szeregach Ochotniczej Służby Kobiet. Wierzy w zwycięstwo i żałuje, że moi rodzice nie zdążyli dotrzeć do powstania. Daje temu wyraz pisząc to w pięknych, podniosłych i patriotycznych słowach na odwrocie zdjęcia z czerwca 1944 roku, wykonanym przed naszym domem w Radości. Babcia Barbara trzyma „na barana” wnuka Andrzeja czyli autora tych wspomnień. Mówi o tym podpis skreślony Babciną ręką, która co ciekawe, praktycznie do końca życia, chciała aby nie nazywać jej babcią a „taty mamą” czyli w skrócie „Tatimą”.

Po powstaniu, w czasie którego uległo zniszczeniu zarówno mieszkanie jak i sklep, Babcia z matką trafiają do obozu w Pruszkowie, a następnie przedostają się do krewnych mieszkających w Częstochowie. Wiosną 1945 roku wracają do Poznania pod swój dawny adres na ulicy Wrocławskiej. Dom nie został zniszczony w czasie walk o Poznań, ale mieszkanie jest zdewastowane i rozkradzione.

Siostra Anna wraca z obozu koncentracyjnego w Oranienburgu w obozowym pasiaku z wreczkiem zebranych po drodze kartofli i z własnoręcznie wykonanym różańcem z chleba. Oczywiście zgodnie z wtedy obowiązującymi prawami mimo, że rozkład pomieszczeń na Wrocławskiej praktycznie na to nie pozwalał, mieszkanie jest współdzielone z dwoma innymi rodzinami. Przez największy pokój służący naszej rodzinie jako jadalnia, w dowolnych porach dnia czy nocy, przemykają współlokatorzy aby dostać się do kuchni bądź łazienki. W tamtych czasach to wszystko jakoś można było przeżyć bo przecież skończyła się okupacja, można było wreszcie w Poznaniu mówić po polsku. Wszyscy wierzą, że sytuacja będzie się poprawiać. Trwa odgruzowywanie centrum miasta zniszczonego w czasie walk o cytadelę. Na św. Marcinie, który niebawem zmieni nazwę i na ponad czterdzieści lat stanie się ulicą Armii Czerwonej, siostrom udaje się odzyskać przed-



„Tati Ma” z wnukiem Andrzejem i siostrą 1944
Radość koło Warszawy, lipiec 1944



Od lewej: Barbara Grzybowska, siedzi Ewa Busiakiewicz matka Barbary i Anny, dalej Janina Grzybowska, synowa Babci(moja mama) dalej stoją: Anna Busiakiewicz, syn Tadeusz , siedzi znajoma p. Helena, Poznań 1947



Niedzielny spacer Barbary i Anny „pań kupcowych” ulicą Ludgardy, Poznań 1949

wojenny lokal. Robią mały remont i zaczynają handlować. Mają jednak olbrzymie trudności z dostawami towarów do sklepu. Hurtownie nie działają, poczta ma ważniejsze zadania niż dostarczać drobne paczki. Właścicielki ruszają w Polskę i przywożą bezpośrednio od producentów nici, zamki błyskawiczne, serwety, poduszki itd. Z Lęborka na Ziemiach Odzyskanych, wraca z rodziną syn Tadeusz gdzie został wysłany do pracy. W mieszkaniu przy Wrocławskiej robi się ciasno ale wszyscy starają się jakoś żyć, co widać na zdjęciu rodzinnym wykonanym w roku 1947. Widzimy prawie całą pozostałą w Polsce rodzinę Babci. Brakuje tylko autora niniejszych wspomnień, który już wtedy miał cztery lata i przebywał prawdopodobnie u drugiej babci na poznańskiej Wildzie, gdzie chodził na ulicy Wspólnej do przedszkola, czyli jak wtedy mówiono ochronki.

Powoli rozpoczyna się takie niby normalne życie. Ale jak tu żyć w tej nowej zmienionej Polsce, w której praktycznie wszystko jest inne. Najważniejsza zmiana to ten nowy ustrój – socjalizm, który ma zapewnić wszystkim obywatelom dobrobyt i szczęście bez granic ale po drodze musi szybko zlikwidować relikty dawnej kapitalistycznej gospodarki. Zaczyna się słynna bitwa o handel. Likwidowane są prywatne restauracje, bary, sklepy, hurtownie. Zabrania się działalności samorządowym organizacjom kupieckim. Wszystko to jednak nie odbiera siostronom, przedstawicielkom wrogiej prywatnej inicjatywy, pogody ducha. Prowadzą swój sklep i starają się „trzymać fason”.

Letnie niedziele, tradycyjnie są przeznaczone na przejażdżki dorożką na Sołacz lub nad Rusałkę z moją prababcią Ewą, której amputowana noga nie pozwalała na piesze wycieczki. Dla mnie, wówczas chłopca kilkunastoletniego, była to niebywała frajda, zwłaszcza gdy pan dorożkarz pozwolił mi na zajęcie miejsca obok niego na koźle. Dorożki konne miały postój na pobliskiej ulicy Podgórznej, a konie pojono w położonym nieopodal, zdroju u podstawy pomnika Hygei, który wówczas stał na Alejach Marcinkowskiego u wylotu Podgórznej.

Babcia, zgodnie ze swoimi zainteresowaniami, gdy tylko czas na to pozwalał, z gronem przyjaciół skupionych w Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym, zwiedza różne zakątki Polski. Celem wycieczek są głównie całkowicie nieznane Ziemie Odzyskane, a więc Mazury, Zachodnie Wybrzeże czy też Karkonosze. Nasza Turystka nie omija także zabytków oraz miejsc świętych położonych na starych ziemiach polskich.

Wracamy jednak do handlu, a ściślej do walki z tym handlem.

Szaleje Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym powołana dekretem Rady Ministrów z 16 listopada 1945 roku. Działalność Komisji jest nastawiona głów-

nie na poszukiwanie podejrzanych osób wśród odradzającego się handlu prywatnego. Jej ofiarą pada także Anna Busiakiewicz. Funkcjonariusze tej służby znajdują w mieszkaniu przy ulicy Wrocławskiej osiem kilogramów cukru. Nie pomagają tłumaczenia, że to na potrzeby licznej rodziny. Anna zostaje wtrącona na kilka tygodni do więzienia przy ulicy Młyńskiej. Później przypadek ciotki był szczegółowo opisany na łamach prasy. W „Głosie Wielkopolskim” – aby wzmoczyć efekt – w opisie tego strasznego czynu, użyto starej rosyjskiej jednostki wagi pisząc, że u spekulantki znaleziono pół puda cukru, no bo jak by to wyglądało, gdyby napisano, że znaleziono tylko 8 kg cukru. Rodzina walczyła dzielnie o zwolnienie z aresztu ciotki Anny wszelkimi legalnymi i niezupełnie legalnymi sposobami. Trochę to kosztowało i to nie tylko nerwów. Powrót do domu nie oznaczał jednak końca sprawy. Ogłoszony później wyrok przewidywał konfiskatę tego cukru i grzywnę, a w sentencji mówił „że należy skończyć ze spekulantami dezorganizującymi socjalistyczny rynek artykułami spożywczymi”. Komisja Specjalna była jak inkwizycja – tropiła, oskarżała, orzekała o winie i nadzorowała wykonanie kary. Odwołania od wyroku nie przewidywało się.

W sklepie przy św. Marcynie w roku 1949 rodzinna firma obchodzi pierwszy raz swój jubileusz. Biorąc pod uwagę, że sklep siostry otworzyły na Garbarach w roku 1919, powinien to być jubileusz 30-lecia, jednak odliczając czasy wojny, dość hucznie obchodzono 25-lecie. Byli goście, życzenia i kwiaty. Tym razem miałem więcej szczęścia, „załapałem się” i uwieczniono mnie na poniższym zdjęciu. Siedzę na kolanach ciotki Anny, a Babcia Barbara stoi trochę w cieniu za ladą. Dwie pozostałe panie na zdjęciu to ekspedientki: Urszula i Janina.

Nadszedł rok 1954 i władze wygrywają pierwszą rundę wojny o handel z firmą „Anna Busiakiewicz i Barbara Grzybowska Galanteria Robótki Ręczne”. Siostry muszą opuścić lokal przy św. Marcynie 23. Oficjalnym powodem, jest konieczność rozbudowy sąsiadującej ze sklepem apteki, oczywiście uprzednio uspołecznionej, czyli państwowej.

Siostronom udaje się znaleźć inne pomieszczenie przy tej samej ulicy pod nr 53 przeznaczonym w niedalekim czasie do rozbiórki. Malutki lokal w parterowym budynku naprzeciw ulicy Kantaka miał wejście z bramy, którą wiodła droga do jedyne go w mieście fotoplastikonu. W czasach gdy telewizja nadawała dwa razy w tygodniu, czarno biały program przez kilka godzin, fotoplastikon był atrakcją co niemiara, a jej właściciele Zofia i Władysław Rutowie nie narzekali na frekwencję. Przechodzący przez bramę miłośnicy oglądania pokazów trójwymiarowych zdjęć, oczywiście zauważyli nowy sklep i niebawem powróciły dawne klientki, doszły także nowe. Zbliżał się rok 1956, nastąpiła krótka odwilż w wielkiej polityce ale nie w stosunku do prywatnego kupiectwa. Tu praktycznie nic się nie zmieniło, no może zmieniły się nazwy instytucji próbujących zniszczyć prywatny handel. Przestała działać Komisja Specjalna ale jej działanie może już w nie takim stopniu, kontynuowała Państwowa Inspekcja Handlowa, czy też Izba Kontroli Rewizyjnej. Te potrzebne



Spacer dorożką konną nad Jezioro Rusalka córek Barbary i Anny z matką Ewą. Dorożka z opisanego postoj u przy ulicy Podgórznej, Poznań Golęcín 1949



Jubileusz 25-lecia istnienia rodzinnej firmy, Poznań 1949

przecież instytucje, dziwnym trafem w tamtych czasach zajmowały się prawie wyłącznie handlem prywatnym mimo, że stanowił on ułamek procenta ogółu handlu w Polsce. Jedyne ustępstwem ówczesnych władz było pozwolenie na reaktywację społecznych organizacji kupieckich. Babcia korzystając z tego, że sklep prowadziła z siostrą, której pomagała zatrudniona ekspedientka, wiele czasu mogła poświęcić na pracę społeczną w Wielkopolskim Zarządzie Zrzeszeń Kupieckich. Była współorganizatorką kursów kupieckich, kto wie może te kursy były zacznym powstania w późniejszych latach już w obecnym ustroju Wyższej Szkoły Handlu i Usług, w której jestem teraz wykładowcą. Babcia przez pięć lat piastowała również funkcję prezesa Sekcji Pasmanteryjnej przy WZZK. Oczywiście nie byłaby sobą, gdyby w swojej pracy społecznej nie zajęła się propagowaniem kultury i sztuki. Współ z znanym poznańskim jubilerem Stanisławem Szulcem utworzyła komitet, który organizował dla kupców i ich rodzin wieczory poświęcone operze, teatrowi oraz najnowszym wystawom organizowanym w poznańskich muzeach. Raz na pięć lat jesienią, Babcia porzuciła Poznań i całkowicie poddawała się magii muzyki Chopina. Mieszkała wtedy u krewnych w Warszawie i nie opuszczała żadnego przesłuchań i koncertów międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. Najbardziej wbił się jej w pamięć, co często wspominała, V Konkurs, który wygrał Adam Harasiewicz, a na widowni zasiadła królowa belgijska Elżbieta. Ostatni konkurs, na który samodzielnie pojechała blisko 95-letnia Barbara to konkurs w 1985 roku; jego zwycięzcą został Rosjanin Stanisław Bunin. Podczas każdego pobytu w Warszawie była zawsze gościem w Muzeum Chopinowskim na Tamce. Swoimi darami: przepięknymi serwetami i serwetkami pomagała w urządzaniu ekspozycji godnej prezentowaniu pamiątek po artyście.

Czas jednak wrócić do Poznania. Sklep w bramie przy ówczesnej ulicy Armii Czerwonej 53 ku radości klientek rozwija się. Pojawiają się nowe wyroby produkowane przez krajowych producentów z surowca sprowadzanego za tak zwane dewizy. Niektóre guziki sprzedawane w sklepie, osiągały w związku z przelicznikiem dolar/złotówka bardzo wysokie ceny. Przykro było patrzeć na miny panów towarzyszących swoim żonom w zakupach, gdy te wydawały na te, według nich niepotrzebne przedmioty, ciężko zarobione pieniądze. Dzięki stworzonym możliwościom wyjazdu za granicę, Babcia Barbara przywozi z Londynu, gdzie mieszka jej brat Jan, kolekcję najnowszych guzików. Towar z cenami dość wysokimi ale jednak dostosowanymi do polskich możliwości nabywczych idzie „jak woda”. Brat z Londynu przysyła pocztą kolejne partie guzików. Panie zainteresowane zakupem guzików z Londynu tworzą listy oczekujących. Później po latach dowiemy się, że kochający brat, widząc zaangażowanie swojej siostry w prowadzenie interesu, dotował zakupy, podając znacznie zaniżone ceny guzików. Można by rzec, że były to pierwsze tak modne dziś dopłaty europejskie, choć nikt poza sponsorem przez wiele lat o tym nie wiedział. W małym acz przytulnym lokalu w roku 1959 siostry obchodzą jubileusz 40-lecia firmy.

Zakratowane okno w sklepie nie jest aluzją do opisanej historii z Komisją Specjalną ale koniecznością. Bowiem brama ze względu na bliskie sąsiedztwo z ulicą Kantaka, była w nocy, już po zamknięciu znanej restauracji „Krakus”, jakby jej filią. Gromadzili się tu wraz towarzyszącymi im paniami, nazwijmy to oględnie pracującymi w okolicach tej ulicy, zapóźnieni goście. Nie było im spieszno do domów, a nie mieli dostatecznej ilości środków płatniczych aby udać



Obie siostry i ekspedientka pani Janina w dniu jubileuszu 40-lecia firmy, Poznań 1959

się do sąsiadującego z „Krakusem” nocnego lokalu „Moulin Rouge”. Siostry często przebywały w swoim sklepie do bardzo późnej nocy porządkując i szykując towar na dzień następny. Sklep był więc ostatnią deską ratunku i miejscem schronienia dla tego wesołego towarzystwa w momencie, gdy nasza dzielna Milicja Obywatelska próbowała raz po raz zaprowadzać tam porządek. W tym miejscu może rodzić się pytanie, jakie związki mogły łączyć szanowane poznańskie kupcowe i owe damy z „półświatka”? Odpowiedź jest prosta i jednak związana z działaniem wspomnianej Komisji Specjalnej, która jak już pisałem, wroga ludu pracującego miast i wsi, kupcową Annę Busiakiewicz „wsadziła” na prawie miesiąc do aresztu śledczego. Była tam osadzona w celi wieloosobowej, której trzon stanowiły właśnie panie trudniące się jak to się mówi najstarszym zawodem świata. Kupcowa cieszyła się, jak opowiadała później, wielką atencją wśród współtowarzyszek i „pod celą” miała specjalne prawa. Stare znajomości przetrwały lata, a dzięki nim przez cały czas istnienia sklepu w bramie naprzeciw ulicy Kantaka, nie było najmniejszej kradzieży bądź dewastacji. Takie to były czasy i taki honor tego tak zwanego wówczas marginesu społecznego.

Ale wróćmy do uroczystości 40-lecia. Dla zaproszonych oficjalnych gości odbyły się one w Domu Kupca w siedzibie ZPHiU przy ulicy Zwierzynieckiej. Były przemówienia, kwiaty, lampka wina. Uroczystości dla najbliższych przyjaciół i rodziny odbyły się w mieszkaniu przy ulicy Wrocławskiej, gdzie przy olbrzymim rozkładanym i suto zastawionym stole zasiadło blisko 50 osób. Przyjęcia na Wrocławskiej miały zresztą swoją tradycję. Dwa razy w roku: na św. Anny w lipcu i św. Barbary w grudniu zbierało się niewiele mniej osób. Wśród zaproszonych bywali także księża: infułat Józef Jany (proboszcz pobliskiej Fary) i kanonik Józef Jasiński (proboszcz parafii na Górczynie). Dostojne osoby duchowne, patrząc na siostrę Babci Annę, świetną gospodynię, krzątającą się między gośćmi a dość odległą kuchnią, żartowali z brylującej przy stole Babci, parafrazując słowa Ewangelii św. Łuksza „Mario, Mario wybrałaś lepszą część, która nie będzie ci odjęta a nie jak twoja siostra Marta troszcząca się o wiele rzeczy”. Później jednak dodawali wzdychając, że gdyby obie siostry, nie daj Bóg, chciały iść w ślady Marii to co niby goście by jedli i pili?

Myliłby się jednak ten kto by przypuszczał, że teraz Ludowe Państwo pod koniec lat 50. już nie walczy z prywatną inicjatywą. Nękanie „prywaciarzy” ciągłymi kontrolami trwa. Efektem jednej z takich kontroli jest gigantyczna grzywna, której prowadzące sklep siostry, ze swoich dochodów nie były w stanie zapłacić. Trzeba trafu, że kilkanaście dni przed tą kontrolą, Babcia Barbara wygrała dość znaczną kwotę w poznańskiej grze liczbowej Koziółki. Złożone odwołanie od decyzji nakładającej grzywnę zostaje załatwione odmownie, a urzędnik prowadzący sprawę informuje, że przecież nie ma żadnego problemu z zapłatą grzywny, bowiem płatność zostanie uregulowana z zablokowanej już wcześniej w banku wygranej. Nie trzeba tu dodawać, że przez przypadek kwota nałożonej grzywny była praktycznie identyczna z kwotą wygranej.

Planowana rozbiorca parterowego domu na narożniku św. Marcina (wtedy Armii Czerwonej 53) i ul. Grancarskiej po sześciu latach działalności sklepu w bramie – w roku 1960 – dochodzi do skutku. Obecnie w tym miejscu stoi wielopiętrowy dom, a w lokalu na parterze sprzedaje się suknie ślubne. W czasach gospodarki planowej, praktycznie przez blisko 40 lat był tu, jak na owe czasy, duży sklep radiowo-telewizyjny. Adres ten znali pra-



Anna, czyli ewangeliczna Marta, siedzi przy stole (druga z lewej) i wznosi toast prawdopodobnie jedną ze swoich znanych i cenionych przez znawców nalewek, Poznań 1959

wie wszyscy mieszkańcy Poznania. Kolejki i komitety kolejkowe chętnych na radia, magnetofony i telewizory były tu „stałym elementem gry”. Ciekawostką jest natomiast fakt, że wspomniany fotoplastykon ulokowany dość głęboko w podwórzu, działał choć w zmienionej formule, prowadzony przez artystę fotografa Antoniego Ruta aż do roku 2005.

Siostry szukają więc kolejnego nowego lokum. Po dość długich poszukiwaniach sklep wznowia działalność na narożniku ulic Długiej i Strzeleckiej, gdzie przez następne 12 lat będzie dzielił lokal z pracującą tam od wielu lat kolekturą Toto-Lotka prowadzoną przez siostry Dutkiewicz.

Sklep po okresie „rozruchu” pracuje pełną parą, w sklepach państwowych powoli brak wszystkiego a „prywaciarze nie dają się”. Małe wytwórnice guzików, zamków błyskawicznych, klamer metalowych, rękawiczek i innych drobiazgów działają w podwórzach, w piwnicach czy innych niezbyt luksusowych lokalizacjach, praktycznie w każdym mieście. Towar dowozi się własnym sumptem i pod strachem kontroli skarbowej, ściągając go z całego kraju. W sklepie sióstr Busiakiewicz pojawiają się, oprócz tradycyjnej oferty pasmanteryjnej i robótek ręcznych, także nowe towary takie jak: kompletne stroje krakowskie dla dziewczynek, wytworne żaboty i koronkowe kołnierzyki z gipiury, czy też szale i rękawiczki dla eleganckich pań. Jednak specjalnością są guziki, także te sprowadzane z Anglii, po które przychodzą do sklepu panie z całego Poznania oraz bliższych i dalszych okolic.

Babcia dalej jeździ, a raczej lata samolotem do rodziny w Wielkiej Brytanii. Teraz to już nie tylko w odwiedziny do brata Jana mieszkającego w Londynie, a także do syna Leszka, który służy w angielskim lotnictwie RAF i jest, jak to wojskowy, często przenoszony z lotniska na lotnisko. Syn w roku 1964 opuszcza Anglię i obejmuje służbę kontrolera lotów na lotnisku w Gibraltarze. Oczywiście Babcia tam jeszcze nie była i musi pojechać na Gibraltar. Fakt służby syna w wojskach wrogiego „państwu miłującym pokój” Paktu Atlantyckiego stanowi poważną przeszkodę w staraniach o wydanie paszportu. Rozmowy ze smutnymi panami z ulicy Kochanowskiego, a później Marcinkowskiego kończą się porażką. Jednak Babcia nie poddaje się. W końcu, jak to bywało w tamtych czasach, poprzez łańcuszek znajomych dociera do jakiegoś naczelnika i choć do dziś niewidomo jak, to jednak udało się Jej uzyskać upragniony dokument



Babcia przy dorożce z charakterystycznym daszkiem na tle gibraltarskiej skały, Gibraltar 1965

w czasach „zimnej wojny” i szpiegomanii. Babcia poleciała na Gibraltar, ale jego atrakcje, naszej zapalonej turystce nie wystarczyły. Bez hiszpańskiej wizy i oczywiście bez wiedzy rodziny, z grupą kobiet – pracowniczek miejscowej fabryki tekstylnej – Barbara przedostaje się z Gibraltaru (należącego do Wielkiej Brytanii) do rządzonej aż do 1973 roku przez generała Franco Hiszpanii. Znacznie trudniej było jednak stamtąd wrócić. Zrobiło się nieciekawie, przestępstwo było ewidentne, ale wszystko kończy się dobrze. Jak to się udało, wiedział tylko syn Babcia Leszek Grzybowski, ale tą wiedzą nigdy z nikim się podzielił. Syn Leszka – mój kuzyn John – również został pilotem. Niestety w roku 1979, będąc pilotem instruktorem rozbił się w czasie lotu treningowego z młodym adeptem lotnictwa. Obaj zginęli. Babcia bardzo przeżyła tę tragedię, tym bardziej, że nie udało się ponownie dostać paszportu i pojechać na uroczystości pogrzebowe wnuka do Anglii.

W roku 1969 firma Busiakiewicz Grzybowska obchodzi niecodzienny jubileusz 50-lecia pracy zawodowej. W poznańskiej Farze, z którą siostry z racji zamieszkania są blisko związane, ksiądz infułat Józef Jany odprawił uroczystą mszę świętą dziękczynną. Później odbyły się oficjalne uroczystości w Zrzeszeniu

Prywatnego Handlu i Usług na ulicy Zwierzynieckiej. Są odznaczenia państwowe i regionalne, jest nawet krótka wzmianka o jubileuszu w poznańskiej prasie. Siostry są wzruszone licznymi życzeniami i dowodami pamięci.

Powrót do dnia codziennego jest też już trochę trudniejszy. Babcia czuje upływający czas, i dziwi się, że nie jest już tak sprawna. Dają o sobie znać mniejsze i większe kłopoty zdrowotne. Przeciwności losu nie zniechęcają jednak sióstr do prowadzenia swojego ukochanego sklepu. Mimo poprawnych stosunków z współlokatorkami sklepu, tłum graczy w Toto-Lotka, który wypełnia w piątki i soboty lokal, zaczyna męczyć siostry. Po raz kolejny zaczynają poszukiwania własnego pomieszczenia.

W roku 1970 mająca ponad osiemdziesiąt lat Babcia i jej nieco młodsza siostra Anna podejmują decyzję o przeprowadzce do małego sklepiku przy ulicy Kwiatowej.

Był to lokal bez zaplecza, bez ogrzewania, a wiek właścicielek nie pozwala już rozwinąć skrzydeł. Rodzina, a konkretnie ja, wnuk Babci Barbary, nie bardzo chcę kontynuować rodzinną tradycję. Przez cały czas pomagam jednak w prowadzeniu biznesu łącząc to zajęcie ze studiami, a później z pracą zawodową na Politechnice Poznańskiej. Pamiętam jak śmieszne były reakcje klientek, które w sprzedającym „subieckie” rozpoznawały swojego kolegę z pracy lub co jeszcze śmieszniejsze, swojego wykładowcę.

W roku 1974 umiera Anna. Niestety nie doczekała kolejnej rocznicy, 55-lecia działalności firmy. Teraz Babcia prowadzi sklep samodzielnie. Władze miejskie doceniły ten niecodzienny jubileusz. W grudniu 1974 roku w Pałacu Działyńskich Barbara otrzymuje Złotą Odznakę m. Poznania. Na odwrocie zdjęcia z tej uroczystości wyraża żal, że nie doczekała jej siostra.

Barbara Grzybowska definitywnie kończy swoją przygodę z kupiectwem dopiero w roku 1984. Sklep na ulicy Kwiatowej przekazuje następczyni pani Guzikowskiej, która zobowiązała się, że przynajmniej przez kilka lat będzie kontynuować podobną działalność handlową. Słowa dotrzymała, jednak po kilku latach sklep został zlikwidowany, a na jego miejscu powstał gabinet lekarski. Obecnie (2011) dom w którym mieścił się sklep, przeszedł kapitalny remont a dawny lokal sklepowy firmy, będzie częścią dużej restauracji.

Myślę, że moja Babcia Barbara Grzybowska była najdłużej pracującą w zawodzie kupcową w Poznaniu. W dniu kiedy odeszła ze swojego ukochanego sklepu, minęło 65 lat pracy w za-



Jubilatki w otoczeniu bliższej i dalszej rodziny oraz znajomych i przyjaciół podczas oficjalnych obchodów w siedzibie ZPHiU, Poznań 1969



Wręczenie Złotej Odznaki m. Poznania, Poznań 1974

wprawdzie późno bo około godziny 12. ale samotny powrót do domu ulicą Rybaki i Strzelecką o północy nie był dla pani liczącej już ponad dziewięćdziesiąt lat czymś wyjątkowym.

Babcia mimo upływu lat była nadal czynną uczestniczką życia kulturalnego Poznania. Zapraszano ją na różnego rodzaju imprezy. Ciągle była zapaloną turystką i gdy tylko istniała możliwość ze swoją grupą skupioną w Polskim Towarzystwie Turystyczno-Krajoznawczym jeździła na bliższe i dalsze wycieczki po Polsce. Potem gdy już nie mogła się poruszać przyjaciele z PTTK odwiedzali ją w domu gdzie wspomnieniom nie było końca. Odwiedzała samodzielnie aż do połowy lat 80-tych rodzinę mieszkającą w Wielkiej Brytanii. Po Poznaniu poruszała się środkami miejskiej komunikacji. Dojazdy na wizyty do nas, czyli rodziny mieszkającej na Podolanach, a później na Piątkowie ułatwiała sobie w ten sposób, że autobusy – co dziś jest rzeczą niewyobrażalną – zatrzymywały się tam gdzie o to prosiła kierowców, czyli pod naszym domem. Bywało, że kierowca bojąc się zdrowie i życie starszej pasażerki odprowadzał ją do samej furtki.

Przez całe życie Babcia uwielbiała dzieci z którymi umiała, jak rzadko kto, nawiązać wspólny język. Bawiła się, gdy tylko była ku temu okazja, ze swoimi ukochanymi prawnukami Pawłem i Andrzejem.

Niestety złamanie biodra unieruchomiło ją na trzy ostatnie lata życia. Choroba nie pozwoliła jej dożyć tak wymarzonego stulecia. Zabrakło roku. Jednak do końca czytała, interesowała się telewizją, a szczególnie Teatrem Telewizji i słuchała muzyki.

Pogrzeb Babci na poznańskim cmentarzu górczyńskim w czerwcu 1990 roku był okazją spotkania się nad mogiłą znajomych i przyjaciół. Na zakończenie uroczystości żałobnych grupa przyjaciół z PTTK i rodzina, stworzyła przyjacielski krąg i nad grobem kochanej pani Basi, zapalanej turystce zaśpiewała tradycyjną pieśń pożegnalną „Idzie noc...”.

Myślę, że życie mojej Babci Barbary jak i jej siostry Anny może być przykładem, że mimo wielu nieszczęść, śmierci najbliższych, przeciwności losu i zakrętów życiowych można przeżyć ciekawie i godnie. Można dożyć późnej starości, cieszyć się każdym przeżytym dniem i żyć z przekonaniem dobrze wypełnionego obowiązku. Reporter tygodnika „Wprost”, który przeprowadzał z 94-letnią Babcią wywiad w sierpniu 1984 roku był dla niej pełen podziwu i pisał, „w czasach gdy namnożyło się wokół tylu nieszczęśliwych zachowała energię i jest absolutnie szczęśliwa ciesząc się każdą sekundą życia”.



95-letnia Prababcia Barbara podczas jednej z ostatnich wycieczek nad jezioro Kierskie

Życie mojej Babci pokazuje, że pracę można traktować jako posłannictwo, służbę ludziom a nie tylko jak przykry obowiązek nie tracąc przy tym nic z uroków jakie niesie życie.

Kończę całkowicie prywatnym akcentem, bo przecież Babcia poza wszystkim co napisałem, była dla nas zawsze naszą ukochaną „Tatimą”, którą kochaliśmy i podziwialiśmy do ostatnich Jej dni.

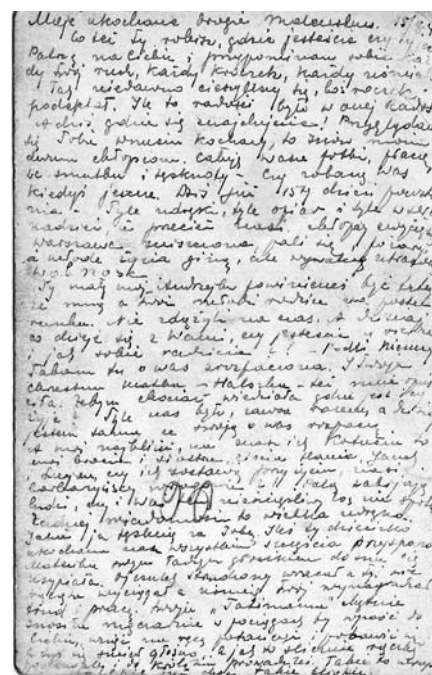
Na poniższym lewym zdjęciu Babcia w roku 1958 ze mną, czyli z wnukiem Andrzejem, na prawym z lipca 1970 roku ze swoim pierwszym prawnukiem, a moim synem Pawłem, w otoczeniu mojej mamy Janiny i żony Barbary.

Taką chcemy aby pozostała w naszej pamięci.



Dodatek – rewers zdjęcia z Radości z lipca 1944

Moje kochane, Drogie Małeństwo. 15.08.1944
 Co też ty robisz, gdzie jesteście, czy życie /
 Patrzę na Ciebie i przypominam sobie każdy
 Twój ruch, każdy kroczyk, każdy uśmiech.
 Tak niedawno cieszyliśmy się, boś roczek
 podeptał. Ile to radości było w onej Radości.
 A gdzie dziś się znajdujecie! Przyglądam
 się Tobie wnusiu kochany, to znów moim
 dwóm chłopcom. Całuję wasze fotki, płacę
 ze smutku i tęsknoty. Czy zobaczę Was
 kiedyś jeszcze. Dziś już 15 dzień powstania.
 Tyle udręki, tyle ofiar i tyle w sercu
 nadziei, że przecież nasi chłopcy zwyciężają.
 Warszawa zniszczona, pali się, pożary
 ale młode życia giną ale wywalczą utraconą wolność.
 Ty mały mój Andrzejsku powinieneś być tutaj
 ze mną a Twoi młodzi rodzice na posterunku.
 Nie zdążyli na czas. A dzisiaj
 co dzieje się z wami, czy jesteście u siebie
 i jak sobie radzicie?? Podli Niemcy!
 Takam tu o was zrozpaczona. I Twoja
 Chrzestna matka – Halszka – też mnie opuściła.
 Żebym chociaż wiedziała gdzie jest i czy
 żyje?. Tyle nas było, zawsze razem a dzisiaj
 jestem sama ze swoją o was rozpaczają!
 A moi najbliżsi, nie znasz ich Kotusiu to
 moi bracia i siostra ciocia Hania, Janek
 i Lucjan, czy ich zostawią przy życiu nasi
 barbarzyńcy wrogowie? ! palą, zabijają
 ludzi, czy i Was ten nieszczęśliwy los nie spotka.
 Żadnej wiadomości to wielka udręka



Jak ja tęsknię za Tobą. Ileś ty dziecinco
 ukochane nasze, wszystkim szczęścia przysparzał.
 Mateńka swym ładnym głosem do snu cię
 usypiała. Ojczulek strudzony wracała a Ty swe
 rączęta wyciągał a uśmiech Twój wynagradzał
 trud i pracę. Twoja „Tatimama” chętnie
 zносиła męczarnię w pociągach aby wpaść do
 Ciebie, wziąć na ręce potaćczyć i pobawić się
 a tyś się śmiał głośno, a jak ślicznie rączkę
 podawał i do królików prowadził. Takie to wszystko
 teraz dalekie choć takie bliskie.